

książki dla wszystkich.

5 kop.



Cena 15 kop.

# POLACY W AMERYCE

napisał

S. Barszczewski



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

w Galicji 40 hal.

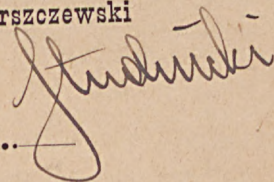
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

# POLACY W AMERYCE

Zarys obecnego stanu wychodźstwa polskiego  
w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej

napisal

Stefan Barszczewski



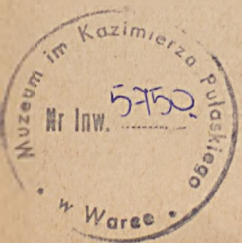
.....

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1902

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 5 Марта 1902 года.



## WSTĘP.

Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej znane jest u nas jedynie z luźnych, jednostronnych i częstokroć mylnych wiadomości, podawanych od czasu do czasu przez prasę, lub z opowiadań podróżników, którzy przebywszy na ziemi amerykańskiej kilka tygodni albo miesięcy, przywożą wieści o niem pełne bądź to zachwytu, bądź rozczarowania, a zawsze oparte na obserwacji powierzchownej i pobieżnej.

Skutkiem przyczyn powyższych odczuwać się daje brak jakiego takiego poglądu na stan rzeczywisty wychodźstwa.

Brak ten staram się w szkicu niniejszym, opartym na ośmioletniej, bezpo-

średniej obserwacji, zapełnić przynajmniej częściowo. Zaznaczyć przytem muszę, że nie chodziło mi bynajmniej o wyczerpanie sprawy — na co zresztą nie pozwalają rozmiary tej książeczki i brak dokumentów odpowiednich — lecz o sprostowanie wielu poglądów przesadnych, o przedstawienie w świetle właściwym obecnego stanu wychodźstwa, osiedlonego za oceanem.

W ciągu całej tej pracy starałem się o przedmiotowość, bezstronność jak najściślejszą, jeżeli jednak, pomimo starań moich, znajdę — zwłaszcza wśród wychodźców — niezadowolonych z sądów i zapatrywań moich, to trudno. Pisałem to, com czuł, pisałem tak, jakem widział.

S. B.

## I.

Początki wychodźstwa polskiego do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej sięgają 1831 r., właściwie atoli wychodźstwo ludowe, którego życie za oceanem pragnę w książeczce niniejszej skreślić, rozpoczyna się w drugiej połowie piątego dziesiątka lat ubiegłego stulecia. Napływać wtedy zaczęły do Europy reklamy, cyrkularze, obiecujące złote góry i ogłoszenia towarzystw sprzedazy gruntów, z mapami, planami i rozmiarami oraz z zachętą do kupowania tych gruntów i osiedlania się w olbrzymim, dzikim i bezludnym niemal stanie Teksas.

Pośrednikami w rozsyłaniu wabików owych wgląb lądu europejskiego stały

się niemieckie towarzystwa okrętowe, którym właściciele gruntów teksaskich płacili komisowe za dostarczanych im emigrantów. Nie mniej jednak chęć zysku na sprzedaży kart przejazdu za ocean—niewoliła właścicieli okrętów niemieckich do jak najszerszego rozprzestrzeniania owych reklam zamorskich.

Nie dziw przeto, że zawędrowały one i na Śląsk Górny, i że tam wśród ludu znalazły chętnych do sprobowania szczęścia na drugiej półkuli. Kilkadziesiąt rodzin włościan śląskich porzuciło swe pielesze i po długiej, uciążliwej wędrówce przez ocean na okrętach żaglowych, zawinęło do portu Galveston, skąd natychmiast zostały wyprawione do południowych okrain stanu Teksas, w okolice miasteczka San-Antonio.

Tam to wśród dziewiczych stepów, niemych świadków odwiecznych wojen dzikich plemion indyjskich i wędrówek ogromnych stad bizonów, powstały pierwsze osady włościan polskich na ziemi amerykańskiej.

Warunki były nader trudne: niebezpieczeństwo z powodu sąsiedztwa Indian

wielkie, ale ziemia bogata, zbyt produktów stosunkowo łatwy i korzystny, po kilku więc latach już nie tyle reklamny towarzystw okrętowych i sprzedaży gruntów, ile listy krewnych i przyjaciół, zachęcające do przyjazdu, zaczęły ściągać nowe, coraz liczniejsze zastępy włościan śląskich na brzegi zatoki Meksykańskiej.

Nie była to atoli jeszcze emigracja masowa, zorganizowana i organizująca się na nowem siedlisku. Miała ona raczej charakter spokojnego, przygodnego przesiedlenia się kilkudziesięciu rodzin, które zapewniwszy sobie byt niezły w nowym kraju, ściągały do siebie krewnych i przyjaciół, rosnąc w liczbę wolno i osiedlając się tylko na roli.

Dzisiejsze nieliczne kolonie polskie w Australji południowej i Nowej Zelandji najbardziej zbliżone są pod tym względem właśnie do ówczesnych kolonji polskich w południowych okrainach Teksasu.

Powoli i inne stany oraz terytorja Unji, przekonawszy się o skuteczności reklamy za pośrednictwem angielskich

i niemieckich towarzystw okrętowych, zastosowały ją dla ściągnięcia emigrantów na olbrzymie swe, odłogiem leżące obszary.

W szóstym i siódmym dziesiątku lat ubiegłego wieku powstają takim sposobem osady polskie w stanach: Nowy York, Pensylwanja, Ohio, Indjana, Illinois, Michigan, Wisconsin.

Osady to rzadkie i małoludne, ale przenoszą stopniowo punkt ciężkości kolonizacji polskiej z dalekiego południa na północny wschód Stanów Zjednoczonych. Pojedynczo lub po kilka napływają tam rodziny kolonistów polskich; ale o emigracji licznej nie było jeszcze mowy.

Z wybuchem wojny stanów południowych z północnymi emigracja nietylko polska, ale wogóle europejska ustaje zupełnie. O rozwoju kolonizacji nikt nie miał czasu myśleć, z kolonji zaś już istniejących cała niemal młodzież wstępuje do wojska. Koloniści z Teksas dostają się do szeregów konfederatów, koloniści z północnego wschodu do szeregów unijnych.

Świadkowie burzliwych owych czasów żyją dotychczas wśród wychodźstwa polskiego w Ameryce, jak np. p. Piotr Kiołbasa, który wzięty do wojska przez konfederatów, przeszedł następnie do szeregów unijnych i dosłużył się w nich stopnia kapitana kawalerji; jak p. Michał La Buy, sędzia pokoju w Chicago, który w szeregach artylerji unijnej przebył całą kampanję, i inni.

Po wojnie wznowia się emigracja ze zdwojoną energją. Zastępy nowych przybyszów, poszukujących szczęścia na tym nowym lądzie, pchają się wciąż dalej i dalej na zachód. Niemal bezludne dotychczas obszary olbrzymie Minnesoty, Dakoty północnej i południowej, Jowy, Nebraski, Kansasu, Kolorado, Arkanzasu, a nawet Montany i Wyomingu zaludniają się szybko. Rzeka Mississipi, stanowiąca do owego czasu linję graniczną cywilizacji europejskiej, linję, poza którą rzadka tylko napotkać było można osady i farmy przybyszów europejskich, pośród całej linji fortów i placówek wojskowych — traci swój charakter i staje się z olbrzymim swym dopływem Mis-

souri ożywioną arterją komunikacyjną, a po obu jej stronach powstają coraz to liczniejsze miasta i kolonje.

Odkrycie bogactw mineralnych w górach Skalistych potęguje jeszcze bardziej napływ przybyszów na daleki zachód, pomimo ciągłych napadów Indjan, protestujących z bronią w ręku przeciwko wdzieraniu się białych twarzy na ich terytorja myśliwskie.

Im większe znajdowano tam bogactwa, tem uporeczywiej napływały rzesze, żądne łatwego zarobku; tem częściej też powtarzały się napady rozgoryczonych plemion indyjskich.

Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły tych walk, w których pomimo całej dzikości i okrucieństwa Indjan musimy przyznać im wiele słuszności. Wystarczy, gdy zaznamy, że dopiero na początku ósmego dziesiątka lat ubiegłego stulecia ustały one po wzięciu do niewoli na północy wodza Siuksów, Sitting-Bulla, a na południu—wodza Apaczów, Hieronima, dwóch najwytrwalszych i najzręczniejszych wojowników indyjskich w drugiej połowie XIX wieku.

Indjanie, osadzeni na rezerwacjach i utrzymywani kosztem rządu amerykańskiego, przestali być niebezpieczni dla emigracji, choć dotychczas jeszcze to tu, to owdzie dają znać o sobie przez urządzenie wypraw zbójeckich lub lokalne bunty przeciwko rozporządzeniom komisarzów rządowych.

Tak więc całe Stany Zjednoczone od oceanu do oceanu stanęły wreszcie otworem dla wychodźstwa europejskiego.

## II.

Gdy na zachodzie Stanów Zjednoczonych otwierały się po wojnie secesyjnej i wytrzebieniu Indian coraz to nowe, całkiem niezaludnione jeszcze obszary dla emigracji przeważnie rolniczej i rzemieślniczej; na zaludnionym już gęsto wschodzie, pod wpływem kolei żelaznych, odkrycia ogromnych terenów naftowych i węglowych — przemysł i handel wzrastały z ogromną szybkością. Istne cuda tworzyły, tak charakteryzujące Amerykanów: przedsiębiorczość, energia i genjusz twórczy — w dziedzinie wszelkich urządzeń mechanicznych, oraz wyzyskania wszystkiego, co dać może zarobek. Fabryki i zakłady przemysłowe wyrastały z dnia na dzień.

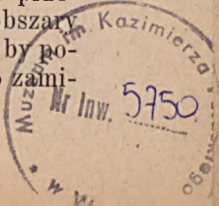
Aby jednak mogły dawać dochód, potrzeba było do nich rąk roboczych.

Rąk tych dostarczyć mogła głównie Europa; zaczęły więc przybywać na ląd amerykański całe zastępy nie tylko już rolników i rzemieślników, ale ludzi bez żadnego fachu, posiadających jeno silne dłonie i chęć do pracy. A ponieważ i ceny za pracę były daleko wyższe, niż w Europie, i zapotrzebowanie rąk wielkie, przeto wychodźstwo do Ameryki przybrało charakter masowy. Każdy okręt, płynący czy to z Liverpoolu, czy z Southampton, czy z Bremy, czy też z Hamburga wysadzał w przystaniach Bostonu, Nowego Yorku, Filadelfji i Baltimore — setki wychodźców.

A powtarzało się to kilkakrotnie w ciągu tygodnia. Tym sposobem setki tysięcy emigrantów przybywały rok rocznie.

Wśród nich znajdowały się dziesiątki tysięcy wychodźców polskich.

Przedtem wychodźcy ci dążyli przeważnie na niezajęte jeszcze obszary gruntów rządowych i prywatnych, by poświęcić się rolnictwu, do którego zaini-





łowanie wywieźli z ziemi rodzinnej, a tylko mała ich część osiedlała się po miastach. W ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia stosunek ten zaczyna się zmieniać. Ogromna część wychodźstwa polskiego, naśladując inonarodowców, osiedla się w miastach i osadach fabrycznych, a mała tylko stosunkowo część udaje się na farmy.

Od tego czasu żywioł polski w miastach amerykańskich wzrasta gwałtownie; od tego też czasu rozpoczyna się okres jego organizacji w granicach Stanów Zjednoczonych; organizacji, która po dziś dzień nie jest wprawdzie tem, czem właściwie być mogła, w każdym atoli razie objęła dość znaczne zastępy.

Już w siódmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia istniały próby zorganizowania Polonji amerykańskiej, próby, przedsiębrane przez ludzi pełnych zapału i ożywionych jak najlepszymi chęciami; nie mogły one jednak wydać trwałego owocu, ponieważ wychodźstwo polskie rozrzucone na zbyt wielkich przestrzeniach, po farmach i osadach dalekich, nie było w stanie skomunikować się należy-

cie, dojsć do wymiany zdań niezbędnej, by coś postanowić i w czyn wprowadzić.

Drugim objawem skupienia się wychodźstwa polskiego w miastach amerykańskich jest powstanie prasy polsko-amerykańskiej; bo choć już w 1863 roku założono w Nowym Yorku pierwsze czasopismo polskie na gruncie amerykańskim, to jednak żywot jego był zbyt krótki i wpływ zbyt ograniczony, by można było brać je pod uwagę, w tym zakresie wychodźstwa polskiego za oceanem.

Dopiero w dwanaście lat później założone w Chicago pisma polskie (o których wspomniemy jeszcze w następnych rozdziałach), stanowią właściwy początek prasy polsko-amerykańskiej, zdołały bowiem zainteresować szersze masy wychodźstwa, przekonały o możliwości przemawiania za pośrednictwem słowa drukowanego do ludu, rzucanego przez los tak daleko od ziemi rodzinnej, a co za tem idzie dały impuls do zakładania pism coraz to nowych.

Nie należy jednak sądzić, że żywioł wychodźczy polski, przed osiedleniem się masowem w miastach i osadach fa-

brycznych, był pozbawiony całkiem łączności, chadzał samopas bez przewodników. Nie, gdyż za łącznik służyła mu zawsze wiara. Pierwszą zawsze myślą najmniejszej choćby grupy wychodźców naszych, czy to nad zatoką Meksykańską, czy to nad oceanem Spokojnym, czy Atlantyckim, było — założenie własnej parafji, w której mogliby się zbierać, naradzać i chwalić Boga we własnym języku.

Już w kilka lat po osiedleniu się pierwszych kolonistów polskich w południowym Teksasie, powstaje tam pierwsza na ziemi amerykańskiej parafja polska pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej; w miarę zwiększania się wychodźstwa we wschodnich i północnych stanach Unji, parafje polskie tworzą się jedna za drugą, tak dobrze w wielkich miastach, jak i małych osadach lub kolonjach.

Dzięki im, dzięki owemu gorącemu przywiązaniu ludu polskiego do wiary, nie utonął on jeszcze w morzu anglo-saskim, zdołał zachować jako tako swą narodową odrębność i przetrwać w tym

stanie do czasu, gdy zwiększenie się żywiołu polskiego w miastach wytworzyło potrzebę prasy polsko-amerykańskiej i stowarzyszeń polskich.

Zwracam uwagę, że mowa tu o starszej generacji wychodźców, tej, która już w pełni wieku z Europy przybyła, bo generacja młodsza, w Ameryce wychowana, amerykanizuje się nader szybko.

Wyjątek stanowi młodzież, wychowana w odległych kolonjach, zdala od miast, mająca do czynienia tylko z rodziną, najbliższymi sąsiadami i kościołem. Młodzież ta zachowuje język, zwyczaje i obyczaje, wyniesione przez rodziców z kraju ojczystego.

Mamy tego przykład w istniejących dotychczas kolonjach teksaskich, a także w stanach Michigan i Wisconsin, gdzie nieraz zdarza się spotkać młodzież obojga płci, urodzoną już w Ameryce i której rodzice także urodzili się i wychowali za oceanem, mówiącą po polsku lepiej niż po angielsku.

Jak wspomniałem, młodzież ta jest wyjątkiem wśród ogółu polsko-amerykańskiego, a liczba jej znniejsza się z ka-

zdym rokiem, albowiem w Ameryce, tak samo jak w Europie, odczuwać się daje coraz bardziej, zwłaszcza wśród młodzieży, dążenie ku wyludnieniu farm i kolonii na rzecz wielkich centrów fabrycznych i przemysłowych, gdzie młodzież ta mieszka się i ginie w mrowisku międzynarodowym.

### III.

Liczba wychodźców polskich, osiedlonych obecnie w Ameryce, nie jest dokładnie wiadomą, aczkolwiek ostatni spis ludności Stanów Zjednoczonych, dokonany w 1900 r., podaje cyfrę ludności polskiego pochodzenia na 1,264,000.

Cyfra ta jest stanowczo zbyt małą, ponieważ wielu wychodźców, pochodzących z państwa rosyjskiego, austriackiego lub niemieckiego, przynależność państwową identyfikuje z ogólną narodowością tych krajów, czy to wskutek nieświadomości, czy też z obawy, że przyznanie się do polskości nie będzie przyjęte przychylnie przez Amerykanów. Wobec tego nie omylimy się bardzo, twierdząc, że liczba polskich wychodźców w Ameryce docho-  
dzi co najmniej do 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona.

Z liczby tej większość ogromną stanowią wychodźcy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

Po nich następne miejsce zajmują wychodźcy z Galicji, trzecie wreszcie — z gubernji Królestwa Polskiego i Kraju Zachodniego.

W łonie wychodźstwa polskiego nie brak rozdwojenia, które zauważy łatwo każdy, kto choćby czas krótki wśród Polaków w Ameryce przebywał. Wychodźcy z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska uważają za coś odmiennego wychodźców z Królestwa lub Galicji, i na odwrót, wychodźcy z Królestwa lub Galicji nie mogą często pogodzić się z charakterem poznańczyków i ślązaków.

Istotnie, charaktery ich, zapatrywania, sposób myślenia, a nawet życia, stały się całkiem różne, co i w stosunkach codziennych objawia się przez nadawanie sobie nawzajem epitetów, wcale nieprzyjaznych.

Poznańczyk aklimatyzuje się w Stanach Zjednoczonych najłatwiej. Wyrachowany, oszczędny, obliczający zawsze z góry, co mu każdy krok postawiony

przynieść może, trzeźwo zapatrujący się na świat i ludzi, wyzyskujący wszystko, w czym widzi jakąkolwiek korzyść, nie robiący sobie skrupułów w interesie — prędko dochodzi do zamożności i przywyka do życia amerykańskiego. O powrocie do kraju rodzinnego nie myśli. Przybywa do Stanów Zjednoczonych po to, by tam pozostać.

Wychodźca z Królestwa Polskiego, oszczędny w zasadzie, wytrwały i niesłychanie w pracy cierpliwy, poddaje się łatwo uniesieniom, nie umie tak jak poznańczyk obrachowywać i przystosować się do miejscowych warunków. Z jednej strony nadzwyczajnie podejrzliwy, daje się jednak łatwo wyzyskiwać temu, kto zdoła pozyskać jego zaufanie; rzadko posiada spryt do prowadzenia interesów samodzielnie, lubi puścić czasem cugle fantazji i wydać choćby grosz ostatni dla dogodzenia dumie własnej. To też nie tak często, jak poznańczyk, dochodzi do zamożności: nie czuje się w Ameryce u siebie i wciąż marzy o swych chatkach, polach, rzekach, gajach, krzyżach i kościołach, choć stosunkowo rzadko po-

wraca do ziemi ojczystej. Zbyt mu imponuje dobrobyt amerykański, zbyt mu z nim dobrze.

Od jednego i drugiego zupełnie różny jest wychodźca galicyjski (zwracam uwagę, że mówię tylko o wychodźcy polskim). Do Ameryki przybył tylko po to, by grosz zarobić. O nic więcej nie dba. Gdy więc wychodźcy z Poznańskiego lub Królestwa, zarabiając więcej niż w Europie, więcej też na swe potrzeby wydają, dążąc do jakiego takiego komfortu—wychodźca z Galicji nie zmienia prawie sposobu życia, mieszka ciasno i brudno, pożywia się byle czem, aby tylko jak najmniej wydać.

Szczupłe są granice potrzeb umysłowych wychodźstwa polskiego w Ameryce, wychodźca galicyjski jednak i tych nawet potrzeb nie odczuwa. Dla niego obojętnem jest wszystko, co z wydatkiem choćby centa jest połączone. Nawet kościoła nie popiera tak jak wychodźcy z Poznańskiego, Śląska i Królestwa. Nie rwie się też ani do polityki, ani do prowadzenia jakichkolwiek przedsięwzięć lub interesów—w obawie utra-

cenia zarobionych pieniędzy. Wierzy tylko w swe silne ręce i spełnia niemi najcięższe, najgorzej płatne zajęcia bez szemrania, bo czuje, że i przy najgorzej płatnem zajęciu w Ameryce zarobi jeszcze pięć lub sześć razy więcej niż w Galicji, i tyleż zaoszczędzi.

Gdzież jednak wychodźca galicyjski zaoszczędzone pieniądze podziwiał?

Odpowiedź na to pytanie jest właśnie jego stroną dodatnią. Oto najczęściej wysyła je lub wiezie po latach osobiście do kraju dla rodziny swej lub dla zakupienia, a częściej wykupienia z rąk lichwiarskich ziemi, do której jest gorąco przywiązany.

Nie mam pod ręką danych statystycznych, ale długoletnie przebywanie wśród wychodźstwa amerykańskiego i jego obserwacja pozwalają mi twierdzić stanowczo, że wychodźca galicyjski pomimo to, iż zarabia w Ameryce daleko mniej niż wychodźca z Poznańskiego lub Królestwa, wysyła daleko więcej od nich pieniędzy do kraju ojczystego i daleko częściej od nich powraca do niego—na swe stare siedlisko.

Pomimo znacznych różnic w charakterze wychodźców z Poznańskiego, Królestwa i Galicji, mają oni cechy wspólne, a mianowicie jednakowo gorącą wiarę, o czem już wyżej wspominałem. Wiara też przyczyniła się niezmiernie do tego, że ci Polacy dotychczas w morzu amerykańskim nie utonęli.

Pracowitość czyni z nich znakomitą i w Ameryce bardzo pożądaną siłę roboczą, ale zamiłowanie w pijatyce, upór, nieprzeparta żądza postawienia na swoim, ujawniająca się w pieniactwie, oraz brak poczucia łączności działały to, że pomimo wielkiej ich liczby żyją po największej części rozproszeni, nie są w stanie wytworzyć jakiej takiej siły, odgrywają przeważnie rolę parjasów na ziemi amerykańskiej.

Przyjrzyjmy się ich zajęciom.

Oto, wszedłszy do jakiegokolwiek większej fabryki amerykańskiej, zastaniemy tam napewno Polaków, ale nie w roli inżynierów, techników, urzędników, monterów. Miejsca te zajmują Amerykanie, Irlandczycy, Niemcy, a często i Czesi;

Polacy zaś stanowią ów szary tłum robotcy, wypełniający rozkazy innych.

Są wśród nich rzemieślnicy nieraz bardzo zdolni, ale i oni z rzadka tylko dochodzą do stanowisk robotników starszych, t. zw. *foremanów*, nadzorujących pracę kilku lub kilkunastu innych robotników.

To samo w handlu. Gdy daleko mniej liczni w Ameryce Czesi zajmują w handlu stanowiska wybitne, nie tylko jako urzędnicy w bankach, składach i biurach amerykańskich, ale jako właściciele handłów hurtowych, wielkich sklepów we wszystkich niemal gałęziach handlu i zakładów przemysłowych — Polacy ograniczają swą działalność handlową lub przemysłową na zakładaniu szynków (przedewszystkiem), sklepów spożywczych (t. zw. *groserni*), jatek, małych kramów, zakładów balwierskich, warsztatów krawieckich i t. p. drobnych interesów, i to w dzielnicach polskich, bo — z małemi zaledwie wyjątkami, nie stanowiącemi przecież reguły — nie posiadają ani sprytu, ani odwagi, ani dostatecznej znajomości języ-

ka, by prowadzić interesy wśród obcego sobie narodu.

Z poważniejszych przedsiębiorstw polskich w Ameryce, zacytować mogą tylko księgarnie i drukarnie J. Smulskiego oraz W. Dyniewicza w Chicago, drukarnie Związku Polskiego także w Chicago, zakłady dzienników: „Kurjer Polski” w Milwaukee, „Dziennik Chicagoski” i „Dziennik Narodowy” w Chicago, „Polak w Ameryce” w Buffalo; browary: Szrajbera w Buffalo, Maciejewskiego i Czai w Chicago, Żółtowskiego i braci Zyndów w Detroit, wreszcie browar polski w Scranton, którego firma nie jest mi znana.

Oto wszystko. Z przykrością wyznać należy, że jak na ludność półtoramilionową, to niewiele.

W drukowanej obecnie w milwauckim „Kurjerze Polskim” — „Historji Polskiej w Ameryce” — autor tej pracy ks. W. Kruzska tak pisze:

„Bezpośrednim skutkiem braku postępu na polu handlu i przemysłu było i jest po większej części zasilanie krewnych, pozostałych w „starym kraju,” do których setki tysięcy dolarów

płynie z emigracji rok rocznie; następnie zakupywanie „lotów” miejskich (wymiary gruntu zwykle 25×125 stóp wielkości) i budowanie na nich domów mieszkalnych \*).

„Są to dwa główne powody z których przyczyny cierpi rozwój handlowo-przemysłowy. Do pomniejszych należą: moc zabaw i używanie trunków alkoholycznych. Także w części brak umiejętności czyli uzdolnienia Polaków, osiadłych w obcym kraju, głównie z roli i miasteczek, przeszkadza w rozwinięciu handlu i przemysłu. Młodsza generacja, wychowana i wykształcona stosownie do potrzeb miejscowych niezawodnie w następnych latach dopełni zadania” \*\*).

Co się tyczy rozmieszczenia osad pol-

---

\*) O wpływie na stosunki ekonomiczne wychodźstwa — zwyczaju budowania jakimkolwiek kosztem własnych domów mieszkalnych znajdzie czytelnik wzmiankę obszerniejszą w dalszym ciągu niniejszego szkicu.

\*\*) Tak, ale ta młodsza generacja nie będzie już właściwie polską. p. a.

skich na ziemi amerykańskiej, to idzie ono w parze z zaludnieniem ogólnem.

Wziąwszy do ręki mapę Stanów Zjednoczonych, dostrzegamy wielką gęstość miast, miasteczek oraz linii kolejowych w stanach wschodnich Unji, gdy tymczasem na zachodzie, a zwłaszcza w kierunku południowym, widzimy wielkie jeszcze przestrzenie puste, z rzadka tylko poprzecinane linjami kolejowymi. W tym samym stosunku rozmieszczone są osady polskie.

Jak wyżej nadmieniałem, wychództwo rolnicze polskie, zapoczątkowane w Teksas, zmieniło się z biegiem czasu na wychództwo przemysłowe, a ponieważ przemysł i handel Stanów Zjednoczonych nie rozwijały się w południowych dzielnicach, lecz na północnym wschodzie, przeto osady rolnicze polskie w Teksas stoją dziś zupełnie na uboczu, nie rozwijając się prawie od lat już trzydziestu. Natomiast tam, gdzie przemysł stanął na stopniu najwyższym, ludność polska jest największą.

Pierwsze miejsce pod tym względem należy się miastu Chicago, w którym lu-

dnosc polska dochodzi do 150,000 osób, tworząc kilka dzielnic prawie zupełnie polskich, jak Stanisławowo, Trójcowo, Wojciechowo, Kaźmierzowo, Town of Lake, Bridgeport, Józefatowo, Jadwigo-wo, Kantowo, Marjanowo, Avondale, South Chicago i inne, noszące najczęściej nazwy, pochodzące od imienia patrona parafji.

Drugim miastem pod względem ludności polskiej jest Buffalo w stanie Nowego Yorku. Ludność polska wynosi tam przeszło 40,000 osób i zamieszkuje także kilka dzielnic, niemal wyłącznie polskich.

Trzecie miejsce zajmują miasta Filadelfja w stanie Pensylwanji i Milwaukee w stanie Wisconsin. W każdym z nich ludność polska wynosi przeszło 30,000 osób.

Dalej następuje Nowy York z ludnością polską, dochodzącą do 20,000 osób, przedmieścia jego Brooklyn (obecnie przyłączone do Nowego Yorku) i Jersey City, liczące po 8-10,000 polaków; Baltimore, Pittsburg, Cleveland, Detroit, Toledo — po 15 — 20,000; St.-Louis,



St.-Paul, Minneapolis, Duluth, Stevens Point, Bay City, Grand Rapids, South Bend, Cincinnati, Indianapolis, Rochester, Boston i inne, z których każde liczy od 5,000 do 10,000 wychodźców, nie mówiąc już o setkach miast i osad pomniejszych, zwłaszcza w okolicach górniczych stanu Pensylwanji, gdzie nieraz znaleźć można po kilkaset rodzin polskich.

Zdawałoby się, że wobec tak wielkiej stosunkowo ludności polskiej po miastach amerykańskich, powinna ona odgrywać rolę dość wybitną w polityce, jeżeli już nie państwowej lub stanowej, to przynajmniej miejskiej.

Tymczasem tak nie jest.

I tutaj Polacy stoją, w stosunku do swej liczby, na miejscu niemal ostatniem, ustawicznie pozwalając wyprzedzać się, co do wpływu politycznego, nie mówię już Czechom, ale nawet Włochom.

W takim np. Chicago Polacy rzadko kiedy posiadają naraz dwóch radców w radzie miejskiej, a na tysiące urzędów miejskich parę tylko dziesiątków znajduje się w rękach Polaków, i to najczęściej urzędów zupełnie podrzędnych.

To samo dzieje się w innych miastach za wyjątkiem może jednego tylko miasta Milwaukeee.

Politycy amerykańscy wprost lekceważą żywioł polskiego pochodzenia, nadając mu niejednokrotnie pogardliwą nazwę: *voting cattle* (bydło głosujące). A przyczyną tego jest, powiedziawszy w dwóch słowach: straszny brak u ogromnej większości wychodźstwa wykształcenia — choćby elementarnego.

Powrócę jeszcze do tej sprawy; dla dopełnienia zaś obrazu rozmieszczenia Polaków na terytorjum amerykańskiem, dodać muszę kilka słów o kolonjach rolniczych.

Najwięcej obfitują w nie stany Michigan, Ohio, Indiana, Illinois, Wisconsin i Minnesota, gdzie niejednokrotnie spotkać można całe okolice, zasiedlone wyłącznie przez Polaków, jak np. w stanie Wisconsin dokoła miasta Stevens Point lub w Indianie w sąsiedztwie miasta South Bend. Nie brak też farm polskich w stanach dalej na zachód położonych, jak w Południowej Dakocie, Ne-

brasco, Kolorado, a nawet Idaho i Wyoming.

Na południu, w stanach Missouri i Arkansas istnieją również farmy polskie i osady, nie mówiąc o najstarszych a już kilkakrotnie wspomnianych kolonjach rolniczych polskich w południowych okrainach Teksasu.

Niemal bez wyjątku rolnicy polscy w Stanach Zjednoczonych wiodą żywot dostatni, a niejednokrotnie można wśród nich znaleźć ludzi bardzo nawet zamożnych, co nie jest dziwnem wobec ich oszczędności, pracowitości, znajomości rolnictwa oraz łatwego i zawsze pewnego zbytu produktów roli.

#### IV.

W miarę rozwoju wychodźstwa wzrastała też liczba parafji polskich, tak, że obecnie na terytorjum Stanów Zjednoczonych istnieje do trzystu kościołów polskich, a niema roku, by tu lub owdzie, częstokroć nawet w kilku miejscowościach jednocześnie — nie zakładano nowych.

Z miast amerykańskich najwięcej, bo 14 kościołów polskich, rzymsko-katolickich — posiada Chicago, jako najbardziej przez Polaków zaludnione. Prócz tego przedmieście South-Chicago (Południowe Chicago) liczy 3 kościoły polskie rzymsko-katolickie.

Sekta polska katolików niezależnych posiada w Chicago 4 kościoły, a baptyści polscy mają 1 kaplicę.

Milwankee, Detroit, Buffalo, Cleveland, Toledo, Filadelfja i inne posiadają po dwa, trzy i cztery kościoły polskie, reszta świątyni rozrzucona jest pojedynczo wszędzie, gdzie tylko istnieją polskie osady. I to osady niewielkie, bo wystarcza osiedlenie się choćby tylko stu rodzin polskich w jednej miejscowości, aby wyrósł tam, jak z pod ziemi, kościół polski. Nie ograniczają się przytem wychodźcy nasi na stawianiu świątyni skromnych, odpowiednich funduszom posiadanych i nieodzownej potrzebie. Przeciwnie, każda z osad dąży, by bądź co bądź posiadać kościół jak najwspanialszy, jak największy i jak najdroższy.

Jeżeli podróżny, przejeżdżający przez miasta amerykańskie, ujrzy dzielnicę, zabudowaną małemi, drewnianemi domkami, a wśród nich duży kościół z wyniosłemi wieżycami, u których szczytu błyszczą krzyże, — to może być pewny, że to dzielnica polska, a kościół ów, co się rozsiadł, jak kokosz wśród piskląt swoich, to kościół polski.

Pięknie to świadczy bezwątpienia o przywiązaniu wychodźców do wiary;

znający jednak stosunki miejscowe nie zawsze spoglądają na zjawisko takie okiem radosnem, bo przypomina ono, że kościoły te stawiane są nie w miarę potrzeb i funduszków, lecz w stosunku do kredytu, jaki się zyskać uda, a kredyt w Stanach Zjednoczonych jest łatwy; że stawiane są dla zadosyćuczynienia dumie proboszczów i parafjan, obciążone wreszcie długami hipotecznemi oraz prywatnemi niejednokrotnie do wysokości  $\frac{3}{4}$  swego szacunku.

Przy każdym z tych kościołów istnieje szkoła parafjalna. Zdawałoby się więc, że przy tak wielkiej liczbie szkół własnych, młodsze pokolenie wychodźstwa polskiego za oceanem powinno odznaczać się inteligencją i wydawać z poróżród siebie niemało jednostek wybitnych.

Niestety, dzieje się inaczej, a to z dwóch powodów: po pierwsze, tak pod względem doboru sił nauczycielskich, jak i programu nauk, szkoły parafjalne stoją nadzwyczaj nisko, nie mogą wytrzymać najłżejszego nawet porównania ze szkołami publicznemi amery-

kańskimi. Nauka w nich skierowana jest niemal wyłącznie ku przygotowaniu dzieci do pierwszej komunji św. i na tem ogranicza się cała nauka, a gdy dziecko ten cel osiągnęło, opuszcza szkołę parafjalną bez względu na to, czy co umie, czy nie.

Po drugie, ogół wychodźstwa polskiego składa się z ludzi bez żadnego wykształcenia, a więc nie rozumiejących najczęściej korzyści, z wykształcenia płynących. Nie trzeba się przeto dziwić, że większość olbrzymia nie dba o wykształcenie swych dzieci i dąży jedynie do tego, by dzieci te jak najprędzej zarabiać mogły. W fabrykach i warsztatach amerykańskich, gdzie praca małoletnich jest ogromnie rozpowszechnioną, o zarobek taki nie trudno; to też zaraz po przystąpieniu do pierwszej Komunji, stanowiącej dla dzieci polsko-amerykańskich niejako patent dojrzałości, rodzice pędzą je natychmiast do fabryk i warsztatów.

System taki spowodował, że na palcach niemal wyliczyć można członków młodszego pokolenia wychodźstwa pol-

skiego w Ameryce, którzy po skończeniu szkoły parafjalnej kształcili się dalej i doszli do jakichś takich stanowisk, bądź w prawie, bądź w medycynie, bądź w jakimkolwiek fachu, wymagającym wyższego wykształcenia specjalnego. Ludzie tacy tworzą się częściej z wychowawców szkół publicznych amerykańskich; lecz — jeżeli nie są dziećmi rodziców inteligentnych, tracą zwykle łączność duchową z wychodźstwem polskim.

Dwa tylko wyższe zakłady naukowe polskie istnieją w Stanach Zjednoczonych, a mianowicie: kolegium św. Stanisława, utrzymywane przez O.O. Zmartwychwstańców w Chicago, oraz założone przez ks. Dąbrowskiego seminarjum duchowne w Detroit, połączone ze szkołą średnią. Pierwszy z nich, obejmujący wydziały filologiczny i handlowy, niewłaściwie nazwany jest zakładem wyższym, nie dorównywa bowiem pod wieloma względami naszemu gimnazjum filologicznym lub realnym. W drugim i sily nauczycielskie są lepsze i program nauk obszerniejszy.

Jeżeli już mowa o kościołach i szkołach polskich w Stanach Zjednoczonych, to nie godzi się pominąć milczeniem tamtejszego duchowieństwa polskiego.

Już sama liczba kościołów wskazuje, że duchowieństwo to jest liczne, a co za tem idzie, i wpływ jego umoralniająca na wychodźstwo polskie powinienby być znaczny. Niestety, w rzeczywistości wpływ nie odpowiada weale liczbie, albowiem w skład duchowieństwa tamtejszego wchodzi żywiły najrozmaitsze, częstokroć ludzie, niemający pojęcia o znaczeniu kapłaństwa lub tacy, którzy zatracili zupełnie poczucie godności swojej.

Obok kapłanów w pełnem tego słowa znaczeniu, którzy jedynie w celach apostołskich Europę opuścili; obok takich, którzy, czując istotne powołanie, poświęcili się w Ameryce stanowi duchownemu, znajdujemy księży, których biskupi europejscy z radością się pozbyli; znajdujemy byłych kleryków, wydalonych z seminarjów europejskich, a w Ameryce wyświeconych; znajdujemy wreszcie ludzi bez najmniejszej wiary, którzy, wi-

dując w stanie duchownym na ziemi amerykańskiej kąsek nie do pogardzenia, pokończyli seminarja amerykańskie i zostali księżmi jedynie dla zarobku. Jeżeli dodamy, że rząd amerykański weale się sprawami Kościoła nie opiekuje i że biskupi tamtejsi, bez wyjątku niemieckiego lub irlandzkiego pochodzenia, ani potrzeb, ani ducha wychodźstwa polskiego nie znając, ulegają niejednokrotnie w sprawach, tyjących się parafji polskich, podszeptom ludzi złych a sprytnych — to musimy przyznać, że pomimo usiłowań i pracy kapłanów zanych, w środowisku takim ferment ciągły i niezdrowy istnieć musi.

Nieporozumienia, kłótnie, skargi do biskupów, konkurencja o parafje bogatsze, intrygi — wywierają zgubny wpływ na wychodźców. Stosunek duchowieństwa do parafjan jest także często rażący, tu jednak dla usprawiedliwienia duchowieństwa zaznaczyć należy, że i wśród parafjan tamtejszych nie brak ludzi ducha niespokojnego, ludzi, którym stosunki amerykańskie zupełnie w głowach poprzewracały.

Ludzie tego rodzaju, rekrutujący się z warstw najniższych proletariatu europejskiego, przybywszy do Ameryki i otrząskawszy się z życiem tamtejszem, przestają uznawać powagę kogokolwiek lub czegokolwiek, zastępując inteligencję, której nie posiadają, bezczelnością i zuchwalstwem.

Wszystko to razem wzięte powoduje, że nawet do nas, do Europy, nadchodzą echa tamtejszych zatargów kościelnych, że w polsko-amerykańskiej prasie tak często czytamy o gorszących zajściach kościelnych, przejmujących nas grozą i smutnem zdziwieniem.

Istnieje inna jeszcze przyczyna owych zajęć przykrych, przyczyna, która głównie wywołała w Ameryce t. zw. kościół niezależny. Jest nią mianowicie uchwała synodu Baltimorskiego, na mocy której władza kościelna nie udziela pozwolenia na założenie parafji, dopóki parafjanie nie zobowiążą się tak gruntów jak i budynków kościelnych zapisać w księgach hipotecznych na imię tego biskupa, do którego djecezji należą.

Skutkiem tej uchwały biskup jest wo-

bec prawa właścicielem nie tylko nominalnym ale i faktycznym wszystkich parafji w swej djecezji; może rozporządzać ich majątkiem i mianować proboszczów bez porozumiewania się z parafjanami. Stąd starcia, zwłaszcza gdy chodzi o długi kościelne, lub gdy biskup mianuje proboszczem księdza, nie cieszącego się dobrą opinią lub niesympatycznego parafjanom. Starcia takie doprowadzają niejednokrotnie do tego, że pewna część parafjan, niezadowolonych z decyzji biskupa, oddziela się od istniejącej parafji i zakłada nową — niezależną od woli biskupa — na podstawie wspólnego władania majątkiem parafjalnym i mianowania własnych proboszczów.

Zdarza się także, iż ruch ten wywołują sami księża, niezadowoleni z rozporządzeń biskupich, tyjących się ich osoby.

Pierwszym w liczbie takich księży był ks. Kolasiński z Detroit, który zresztą pogodził się następnie z Kościołem i umarł przed dwoma laty, jako proboszcz największej parafji detroickiej. Wytworzył on jednak cały szereg naśla-

dowców, jak ks. Kołaszewski w Cleveland, ks. Hodur (były kleryk seminarjum krakowskiego) w Scranton, ks. Kozłowski w Chicago.

Ostatni z nich, acz wyświęcony tylko *ad solam missam* we Włoszech południowych, gdzie był długi czas braciszkiem klasztornym, mianował się biskupem kościoła niezależnego w Chicago, uzyskawszy święcenia biskupie od starokatolickiego biskupa Herzoga w Szwajcarji.

Inne biskupstwo niezależne utworzył w Buffalo niejaki Kamiński, poprzednio organista, otrzymawszy rzekome święcenia biskupie od znanego w Ameryce awanturnika Vilatte, mianującego się biskupem Cejlonu czy też Kochinchiny.

Wogóle na czele owego ruchu niezależnego w Ameryce stoją ludzie wykołajeni, i jeżeli w szeregach tamtejszego duchowieństwa polskiego znajdują się jednostki małej wartości moralnej, to owo duchowieństwo niezależne stanowi wśród nich osad najbrudniejszy.

Oprócz duchowieństwa świeckiego niepoślednią rolę odgrywa wśród wychodźstwa polskiego w Ameryce duchowieństwo zakonne. Najbardziej wpływowy-

mi są O. O. Zmartwychwstańcy, rozporządzający w samem Chicago sześcioma parafjami. Jedną z tych parafji, a mianowicie św. Stanisława Kostki jest największą parafją katolicką w Stanach Zjednoczonych.

Drugie miejsce zajmują O. O. Św. Krzyża, zarządzający bogatymi parafjami polskimi w Chicago, South Bend i Pittsburgu; trzecie wreszcie O. O. Franciszkanie, którzy, osiedliwszy się przed kilku laty w Buffalo, wzniesli tam obecnie, w samym środku dzielnicy polskiej, kościół i klasztor własny.

Z zakonów żeńskich rozpowszechnione są najbardziej wśród wychodźstwa polskiego Felicjanki i Nazaretanki. Ostatnie z nich założyły przed siedmiu laty w Chicago szpital polski w małym, dwupiętrowym domku, obecnie zaś przystąpiły do budowy wielkiego gmachu szpitalnego. Posiadają też w Chicago zakład wychowawczy dla dziewcząt polskich\*).

\*) W roku ubiegłym odłączyły się siostry polskie zakonu św. Franciszka i utworzyły nowe zgromadzenie pod wezwaniem św. Józefa. Dom ich macierzysty znajduje się w Stevens Point, stanu Wisconsin.

go kierunku jest arcybiskup Ireland z St. Paul, człowiek nadzwyczaj świątły, energiczny i zagorzały patrijota amerykański.

Dostojnika tego zna także Europa, imię bowiem jego skojarzone jest z projektem zreformowania Kościoła w duchu liberalnym, znanym pod nazwą amerykańizmu.

Że istotnie arcybiskup Ireland ma zapatrywania oryginalne na niektóre sprawy kościelne, dowodzi to np., że w djecezji swej nie toleruje zakonów, posiadających reguły ostre, twierdzi bowiem, że człowiek, oddający ciało swe umartwieniom i źle odżywiany, ani Bogu, ani społeczeństwu dobrze służyć nie może.

Szowinizm swój amerykański ujawnił on niejednokrotnie twierdzeniem, że każdy wychodźca osiedlony na ziemi amerykańskiej powinien zamerykanizować się jak najprędzej i potomstwo swe wychowywać w duchu amerykańskim. Że zaś język angielski jest w Stanach Zjednoczonych panującym, należy przeto nalegać, by duchowieństwo katolickie w parafjach, czy to polskich, czy czeskich, czy

## V.

W rozdziale poprzednim wspomniałem, że biskupi amerykańscy, pochodzenia wyłącznie irlandzkiego i niemieckiego, nie znają ani potrzeb wychodźstwa polskiego, ani jego ducha. Byłby to szkopał niezbyt ważny dla duchowieństwa polskiego za oceanem, gdyby zechciało działać z sobą ręką i dążyć zgodnie do wytkniętego celu.

Istnieje atoli szkopał inny, przeciwko któremu, niestety, duchowieństwo polskie niewiele poradzić może, choć krząta się, by złemu zapobiedz.

Szkopał ten, to dążenia amerykanizatorskie niektórych biskupów w Stanach Zjednoczonych.

Najwybitniejszym przedstawicielem te-



niemieckich, tym językiem przedewszystkiem biegłe władało. Twierdzenie to popiera czynem, niechętnie bowiem dopuszcza do djecezji swojej księży w Europie wyświęconych, a zwłaszcza księży zakonnych, oddając pierwszeństwo wychowankom seminarjów amerykańskich.

Przykład jego naśladowuje wielu innych biskupów, przez co duchowieństwo polskie, pomimo swej liczby, stale bywa ignorowanem w hierarchji amerykańskiej, a co ważniejsze, wychodźstwo polskie w Ameryce znajduje się pod groźbą wynarodowienia przez kościół.

Pod tym względem przed trzema niespełna laty zasłynęli biskupi Eis i Messmer. Obaj ci dostojnicy wydali duchowieństwu swych djecezji rozporządzenie, aby w kościołach, utrzymywanych przez wychodźców, odbywały się kazania i śpiewy nietylko w języku tej narodowości, do jakiej wychodźcy należą, ale także i w języku angielskim.

W tym samym duchu wystąpił arcybiskup Keane, wyraziwszy życzenie, aby wykład katechizmu w szkołach parafial-

nych, utrzymywanych przez wychodźców, odbywał się po angielsku.

Rozporządzenia biskupów Eis i Messmera, również jak życzenie arcybiskupa Keane'a uzasadnione były tem, że młode pokolenie wychodźców rozumie już lepiej język angielski, niż język rodziców swoich; ponieważ jednak wzbudzały podejrzenie, iż stanowią początek dążności do całkowitego usunięcia z kościołów rzymsko-katolickich na ziemi amerykańskiej wszystkich języków obcych—wywołały przeto nadzwyczaj ożywione protesty i dyskusje w prasie polskiej, czeskiej i niemieckiej za oceanem.

Pod wpływem tego wrzenia prasy, dostojnicy wyżej wymienieni, co prawda, cofnęli się, zapewniając, iż tylko dobro swych djecezjan mieli na celu, nie mniej jednak już sama próba wprowadzenia języka angielskiego do kościołów, utrzymywanych przez przedstawicieli obcych narodowości, niewesołym jest prognozykiem dla przyszłości wychodźstwa.

W lutym r. b. wychodzący w Milwaukee (stan Wisconsin) „Dziennik Milwaukeecki” podał następującą wiadomość:

„W tych dniach ks. dr. P. Cwiąkała z Clevelandu otrzymał list od brata swego, kleryka w seminarjum duchownem we Lwowie. W liście tym między innymi donosi on co następuje:

„Do naszego seminarjum zjeżdżają się *omnes gentes*, tak, że słusznie *asylum gentium* nazwane być może. Na pierwszy rok przybyło nawet czterech Amerykanów. Są to Anglicy, a raczej Irlandczycy. Dziwne ich nazwiska opiewają: Thirnan, Mac Keo, King i Beck. Dwaj pierwsi byli już dwa lata w seminarjum w Detroit, Mich. i można się z nimi rozmówić po polsku. Pamięć mają znakomitą, raz słyszane wyrazy pamiętają bardzo dobrze.”

Powtarzając tę wiadomość, chicogaska „Gazeta Katolicka” dołączyła taki komentarz:

„Wobec tego, że w Ameryce jest wiele zakładów wychowawczych, gdzie młodzież amerykańska niepolskiego pochodzenia uczęszcza na studia teologiczne, zachodzi poważne pytanie,

jaki może być cel biskupów amerykańskich, którzy do polskich seminarjów wysyłają młodzież niepolską na edukację?

„Wielu optymistów cieszy się z tego, że Irlandczycy uczą się naszej mowy. Schlebia to naszej dumie, lecz z pewnością owa młodzież niepolska, biorąc wykształcenie duchowe w zakładach polskich, nie w innym celu to czyni, jak tylko w tym, aby poduczysz się polskiego języka, zając pozycję w polskich parafjach w Ameryce; wobec tego należałoby nam zwrócić baczną oko na to, co się dzieje.”

Jak widać z powyższego, biskupi amerykańscy wzięli się na nowy sposób: księży nie Amerykanów chcą zastąpić przez rodowitych Yankesów. A z czasem pójdą dalej.

We wrześniu roku ubiegłego odbył się w mieście Buffalo, stanu Nowy-York, zjazd przedstawicieli parafji, towarzystw i organizacji polskich, rzymsko-katolickich w Stanach Zjednoczonych, nazwany kongresem polsko-katolickim.

Na zjeździe tym między innymi obradowano także nad nieporozumieniami, wynikającymi w djecezjach i parafjach skutkiem niezrozumienia ducha wychodźstwa polskiego przez biskupów amerykańskich,— nad ignorowaniem duchowieństwa polskiego w hierarchji amerykańskiej i wreszcie nad próbami amerykanizowania przez kościół.

Skutkiem obrad tych było uchwalenie wysłania do Rzymu delegacji duchowieństwa, któraby przedstawiła w Watykanie stosunki kościelne polsko-amerykańskie we właściwym świetle i uprosiła mianowanie w djecezjach, zamieszkałych przez znaczną liczbę wychodźców polskich, koadjutorów narodowości polskiej.

W chwili, gdy to piszę, delegacja wyżej wspomniana nie wyruszyła jeszcze do Rzymu, gdyby jednak nawet dopełniła polecenia, danego jej przez zjazd, to i wtedy wątpiłbym, aby starania jej odniosły skutek pomyślny.

Na przeszkodzie stoi z jednej strony znaczny wpływ episkopatu Stanów Zje-

dnoczonych w Watykanie, z drugiej— różnorodność żywiołów, składających wychodźstwo polskie, i wreszcie amerykanizowanie się młodego pokolenia wychodźców, o czem jeszcze w dalszym ciągu szkicu niniejszego pomówię.

## VI.

Nie bez zasady Stany Zjednoczone uważane są za przytulisko dla rozmaitego rodzaju osobników wykołojonych, bo co do wychodźstwa polskiego przynajmniej, to rzadko kto z tak zwanej inteligencji tam przebywającej, niema przeszłości mniej lub więcej zaszarganej, lub nie jest człowiekiem, co zostawiwszy gorzkie wspomnienia za oceanem, zrobił krzyżyk nad niemi, nad światem, nad sobą i brnie przez życie bez celu i nadziei, ot, aby tylko dobrnąć do końca.

Tak jedni jak i drudzy, nie mając nic już do stracenia, posiadając zaś ze względu na swą wyższość umysłową przewagę nad tłumami wychodźstwa, korzystają z niej aż nazbyt często, by działać

demoralizująco na umysły nieoświecone, z życiem społecznem i politycznem nieobeznane, albo obeznane powierzchownie z najgrubszemi tego życia objawami,—rozbudzać w nich namiętności, doprowadzać do zatargów i kłótni, i w tak znąconej wodzie niesnasek łowić dla siebie ryby pod postacią dolarów.

Wśród wychodźców polskich w Ameryce niema stronnictw we właściwym tego słowa znaczeniu. Istnieje tylko podział na obozy, walczące z sobą zacięcie o to, czy należy we wszystkim słuchać się duchowieństwa, czy też w pewnych razach działać wbrew jego woli. I jeden i drugi obóz składa się z ludzi fanatycznie do wiary przywiązanych, nie rozumiejących wprost walki bez tego podkładu religijnego, do tego stopnia, że nawet w polityce amerykańskiej musi on występować. Nie tak w mowach politycznych przedwyborczych na słuchaczów polskiego pochodzenia nie działa, jak powtarzanie frazesu, że stronnictwo demokratyczne sprzyja duchowieństwu katolickiemu, stronnictwo zaś republikań-

skie składa się z *apaistów* \*), t. j. ludzi wrogich kościołowi katolickiemu.

Nie dziw, że wobec takiego nastroju łatwo jest dla ludzi inteligentnych, sprytnych i nie posiadających skrupułów, wytwarzać sobie szeregi zwolenników, gotowych — pod wpływem namiętności i właściwego nam uporu — do wszelkich ofiar, aby tylko postawić na swoim.

Większość prasy polsko-amerykańskiej tylko temu zawdzięcza swój początek oraz istnienie.

Założenie pisma perjodycznego w Stanach Zjednoczonych nie wymaga więcej zachodu, jak założenie warsztatu szewskiego lub krawieckiego, z tą tylko różnicą, że osoba, zakładająca warsztat musi dla własnego interesu znać się na szewstwie lub krawiectwie, gdy tymczasem dla wydawania lub redagowania pisma takich nawet kwalifikacji nie potrzeba.

Pokłócił się szynkarz lub rzeźnik, posiadający trochę grosza, z proboszczem,

\*) Wyraz utworzony z liter A. P. A., oznaczających stowarzyszenie *American Protective Association*, istotnie antykatolickie.

musi się bądź co bądź zemścić. A jaka zemsta jest miłsza nad słowo drukowane, które można rozesłać na wszystkie strony świata; jakie zajęcie miłsze dla inteligenta wykolejonego, rzuconego losiem na ląd amerykański, nad redaktorskie, na którym można zyskać i trochę grosza i trochę sławy przy pracy łatwej, zasadzającej się na wymyślaniu oraz obrabianiu nożyczkami pism europejskich.

Kupuje więc pan szynkarz czy rzeźnik zapas starych czcionek, parę kaszt drukarskich z drugiej ręki, kilkaset funtów papieru, wynajmuje zecera oraz pana redaktora, a sam przyjmuje tytuł wydawcy, i pismo gotowe. Numer ułożony posyła się do odbicia do pierwszej lepszej drukarni, posiadającej prasę drukarską; nadzwyczaj łaskawa dla czasopism poczta amerykańska (1 cent od funta na całe Stany Zjednoczone), rozsyła na wszystkie strony egzemplarz odbity; niewybredni czytelnicy rekrutują się tem łatwiej, im ogniościej pan redaktor wymyśla; jeżeli więc wydawca posiada dosyć pieniędzy, by przetrwać kilka lub

kilkanaście miesięcy — pismo zyskuje stałych czytelników i trwa aż do skutku.

Pism takich polsko-amerykańskich, wyłącznie tygodniowych, istnieje w Stanach Zjednoczonych cały szereg. Nie będę wymieniał ich tytułów, bo właściwie na miano *prasy* nie zasługują i zaszczytu wychodźtwa polskiemu nie przynoszą.

Istnieje też inna kategoria pism polsko-amerykańskich, a mianowicie pisma, zakładane przez pewnych księży, nie w celu kształcenia ludu lub przysłużenia się Kościołowi, lecz dla zadosyćuczynienia własnej ambicji i popierania wido-ków oraz zamiarów osobistych. I ta kategoria nie jest lepszą od pierwszej. Może pisma te są pod pewnym względem przyzwoiciej, a przynajmniej staramiej redagowane — ale pod względem moralnym stanowezo także szkodliwe.

Nie mniej znajdują się wśród inteligencji polsko-amerykańskiej jednostki uczciwe, szczerze pragnące dobra ludu, pośród którego znalazły się przez los rzucone, jednostki, zapatrujące się poważnie na zadanie, jakie mają względem

tego ludu do spełnienia i pracujące nad tem gorliwie.

Ich to działalności wychodźtwa polskie w Ameryce zawdzięcza powstanie organizacji, skupiających w sobie życie społeczne i narodowe, oraz istnienie rzeczywistej prasy polsko-amerykańskiej.

O niej z kolei wypada kilka słów pomówić.

Już wspomniałem poprzednio, że pierwsze pismo polskie na gruncie amerykańskim powstało 1863 r. w Nowym Yorku. Od owej chwili dziennikarstwo polsko-amerykańskie przechodziło koleje najrozmaitsze. Liczba pism, które po drugiej stronie oceanu Atlantyckiego w ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci ubiegłego wieku powstały i upadły, wynosi co najmniej pół setki. Opowiadać ich przejścia i dzieje — rzecz zgoła w danym razie zbyt ciężka, chodzi mi bowiem o przedstawienie szkicu obecnego stanu wychodźtwa, nie o jego dzieje.

Do dziewiątego dziesięciolecia wieku ubiegłego prasę polsko-amerykańską stanowiły wyłącznie wydawnictwa tygodniowe. Przyczyną tego było nieodczu-

wanie potrzeby otrzymywania częstszych wiadomości przez wychodźców, zamkniętych w ciasnym zakresie zajęć codziennych, trzymających się zdala od życia politycznego Stanów Zjednoczonych; to też kilkakrotne próby stworzenia dziennika w owych czasach... zawiodły.

W miarę atoli rozwoju wśród wychodźstwa zainteresowania się życiem politycznym, zainteresowania, wywołanego zwłaszcza przez stronnictwo demokratyczne, które spostrzegło, że w konserwatywnym, katolickim żywiole polskim znajdzie paręset tysięcy głosów, nie do pogardzenia wobec przeredzających się szeregów swoich — szanse utrzymania pisma codziennego zwiększały się coraz bardziej.

Zrozumiał to p. Michał Kruszką, energiczny, inteligentny dziennikarz, rodem z Inowrocławia i założył w 1888 r. w mieście Milwaukee, stanu Wisconsin, dziennik „Kurjer Polski.”

Ze wyrachowanie p. Kruszki oparte było na podstawach pewnych, dowodzi fakt, iż dziennik jego istnieje dotychczas i rozwija się stale. Pierwotnie hołdo-

wał on zasadom stronnictwa demokratycznego, gdy jednak w polityce amerykańskiej wyłoniły się sprawy wolnego bicia srebra i wolnego handlu — przeczcił się do stronnictwa republikańskiego, któremu służy do chwili obecnej.

Oдноśnie do spraw wychodźstwa polskiego jest „Kurjer Polski” pismem umiarkowanie postępowem i w sądach swych bezstronnem. Redakcję jego składają p. p. W. Kruszką, brat wydawcy, Franciszek Hieronim Jabłoński, były redaktor „Zgody” i prezes Związku Polskiego, rodem z Inowrocławia, oraz J. I. Chrzanowski z Warszawy — wytrawni dziennikarze polsko-amerykańscy.

Ze zmianą barwy politycznej „Kurjera Polskiego,” demokraci milwaueccy założyli „Dziennik Milwaukeecki.” Pismo to utrzymuje się przeważnie dzięki subwencjom pod postacią druków i ogłoszeń, dostarczanych mu przez przedstawicieli stronnictwa demokratycznego w Milwaukee. W stosunku do Polaków jest pismem konserwatywnem. Redaktorem jego jest były współpracownik

„Kurjera Polskiego,” Stanisław Osada, człowiek młody i rzutki.

W 1890 r. bogaty zakon O. O. Zmarłychwstańców zakłada w Chicago Spółkę Wydawniczą Polską i rozpoczyna wydawnictwo „Dziennika Chicagoskiego.” Pismo to, od chwili założenia oddane całkiem stronnictwu demokratycznemu, redagowane w duchu skrajnie konserwatywnym, prowadzi zaciętą walkę z prasą t. zw. postępową. Przez kilka lat redaktorem jego był zmarły niedawno we Lwowie utalentowany dziennikarz i publicysta, ś. p. Henryk Nagiel; dzisiaj prowadzą je ze znajomością rzeczy p. p. Kazimierz Neuman i Stanisław Sz wajkart, obaj żżyci ze stosunkami polsko-amerykańskimi, ludzie zdolni i wykształceni.

Dwa lata temu grono ludzi niezadowolonych z kierunku „Dziennika Chicagoskiego” założyło w Chicago towarzystwo akcyjne i rozpoczęło wydawnictwo drugiego dziennika p. t. „Dziennik Narodowy” o kierunku postępowym, a w polityce amerykańskiej: republikańskim. Pierwszym jego redaktorem naczelnym był ś. p. Michał Sadowski-Pankiewicz,

rodem z Warszawy, po śmierci zaś jego, w kwietniu 1900 r., „Dziennik Narodowy,” redagowany przygodnie, toruje sobie mozolnie drogę w walce z bogatym „Dziennikiem Chicagoskim.”

Piątem wreszcie pismem codziennem polskiem za oceanem—jest wydawany w Buffalo przez proboszcza tamtejszej parafji św. Stanisława, ks. Pitassa, „Polak w Ameryce.” Redakcję jego prowadzi p. Stanisław Slisz, dziennikarz zdolny, ale zbyt krewki, nadużywający pióra w polemice, gdy chodzi o sprawy niezgadujące się z jego przekonaniem.

O wiele liczniejszych przedstawicielei posiada w Stanach Zjednoczonych prasa polska tygodniowa. Najstarsze tygodniki: „Gazeta Polska,” wydawana przez p. Władysława Dyniewicza, i „Gazeta Katolicka,” założona przez ś. p. W. Smulskiego, a redagowana obecnie przez pana Leona Szopińskiego, obie w Chicago, istnieją już po ćwierć wieku i posiadają klientelę liczną i wyrobioną.

Młodsza od „Gazety Polskiej” i „Gazety Katolickiej” „Zgoda,” organ Związku Polskiego, stowarzyszenia bratniej



pomocy, w którem skupiła się najinteligentniejsza stosunkowo część wychodźstwa, prócz duchowieństwa, powstała przed dwudziestą laty. Ponieważ organ ten jest obowiązkowy dla członków Związku, przeto liczy do 30,000 prenumeratorów przymusowych. Redaktora objera co dwa lata zjazd reprezentantów towarzystw, należących do Związku. Obecnie stanowisko to zajmuje p. Tomasz Siemiradzki.

Ze względu na dążenia postępowe Związku, będącego najliczniejszą organizacją polską w Ameryce, „Zgoda” jest niejako przedstawicielką całego obozu postępowego, wpływ jej atoli nie przekracza poza granice organizacji, której interesów broni.

Z innych pism tygodniowych polskich, wydawanych już czas dłuższy w Stanach Zjednoczonych, wymienić należy „Amerykę” w Toledo, rozwijającą się szybko pod rękliwem i sprytnem kierownictwem p. A. Paryskiego, „Echo” w Buffalo, założone przez wymienionego już wyżej Michała Sadowskiego-Pankiewicza, obecnie własność spółki udziałowej, „Polonję w Ameryce” w Cleveland, „Naród

polski,” organ Zjednoczenia w Chicago; „Wielkopolanina,” wydawanego w Pittsburgu przez ks. Tomaszewskiego ze zgromadzenia św. Krzyża, i walczącą z nim „Gazetę Pittsburską,” organ protestantów; „Prawdę,” wydawaną w Bay City przez p. S. Przybyszewskiego; „Niedzielę” w Detroit pod redakcją ks. Muelleira, kosztem seminarjum polskiego. Z miesięczników: „Sztandar,” organ młodzieży; „Sokoła,” organ towarzystw gimnastycznych; „Ziarno” i „Harmonję,” organy dwóch związków śpiewackich.

Ogółem wychodzi w Stanach Zjednoczonych przeszło 40 pism polskich najrozmaitszych odcieni (z tej liczby w samym Chicago 18).

Ogromna ich większość, redagowana bardzo słabo, bez żadnej znajomości rzeczy lub poczucia obowiązków, ciężących na prasie, obliczona jedynie na zysk z ogłoszeń i wsparcia od stronnictw politycznych — wywiera wpływ raczej ujemny niż dodatni na wychodźstwo niewykształcone, łatwo dające się otumanić przez ludzi, obdarzonych sprytem i uniejącego przemawiać do ludu. Wobec te-

go znaczenie owej imponującej liczby czterdziestu kilku czasopism polskich w Ameryce redukuje się do cyfry bardzo małej i wątpliwem jest, by spotęgowało się kiedykolwiek, bo dla rozwoju znaczenia prasy potrzebny jest podkład inteligencji, a tego, niestety, brak wśród polonji amerykańskiej.

## VII.

Życie Polaków w Ameryce, bardziej intensywne, gorączkowe i niepewne, pełniejsze niebezpieczeństw, zmian i zawodów niż w Europie — wywołało w Ameryce ogromny rozwój towarzystw ubezpieczeń i bratniej pomocy wszelkiego rodzaju.

Amerykanin, obracający wciąż posiadany kapitałem, mało stosunkowo odkłada na „czarną godzinę” na sposób europejski, natomiast zabezpiecza się od nieszczęśliwych wypadków i choroby, a na wypadek śmierci zapewnia byt swej rodzinie, biorąc ubezpieczenie na życie; nawet uwalnia ją od kłopotów pogrzebowych, zapisując się do bractw rozmaitych — jednym słowem — niepewny

nigdy jutra, stwarza połączonemi siłami organizacje, zapewniające małym kosztem w razie nieszczęścia byt jemu i jego rodzinie.

Ma się rozumieć, niema tu mowy o tych, którzy, obracając wielkimi kapitałami, wiele też zarobić mogą, lecz o tej olbrzymiej większości, co, żyjąc z pracy rąk swoich, lub obracając małym kapitałem w środowisku rozgorączkowanym zaciętą walką o byt i zdobywaniem jak największej ilości dolarów, narażona jest daleko częściej na wypadki, zagrażające chorobą, kalectwem lub śmiercią.

Wcieliwszy się do takiego społeczeństwa, wychództwo polskie musiało pójść za jego przykładem. Istotnie, już w 1875 roku powstaje na ziemi amerykańskiej pierwsza próba utworzenia organizacji polskiej w celu niesienia bratniej pomocy, zapewnienia bytu swym członkom. Próba ta nie wydaje pożądanego rezultatu. Założone przez grono Polaków „Zjednoczenie” wegetuje i wreszcie upada, bo nie znalazło żywiołów odpowiednich, bo wychództwo polskie było wów-

czas zbyt jeszcze rozrzucone i nieliczne. W pięć lat później inne grono wychodźców, zebrane w Filadelfji, pod przewodem ś. p. Juljusza Andrzejkowicza, zakłada wspomniany już „Związek Polski.”

Organizacja ta postanowiła przyjmować do grona swego wszystkich wychodźców, bez względu na wiarę; przeciwnicy więc tych zapatrywań postępowych wskrzeszają upadłe już „Zjednoczenie,” nadają mu obszerną nazwę „Zjednoczenia pod opieką Boskiego Serca Jezus” i wytwarzają „Związkowi” konkurencję. Z jednej strony konkurencja ta wywołała walkę zażartą, nie przebierającą w środkach, do tego stopnia, że „Związek” kilkakrotnie chylił się ku upadkowi, z drugiej atoli zaznajomiła apatyczny, mało wykształcony ogół, na który tylko silnie drażniące środki podziałać mogły, z celami obu organizacji, i sprawiła, że dziś obie te organizacje istnieją i rozwijają się dobrze, niosąc pomoc tysiącom rodzin przez wypłacanie wsparć pośmiertnych po zmarłych członkach.

Zarządy tak „Związku,” jak i „Zje-

dnoczenia” znajdują się niemal od początku założenia tych organizacji i bez przerwy w Chicago, gdzie „Związek” posiada nawet swój gmach własny.

Nie podobało się to innym, liczniejszym osadom polskim, które wciąż podejrzewały i podejrzewają chicagowian o chęć panowania nad nimi; z biegiem więc czasu powstaje więcej organizacji polskich, jak „Unja” w St. Paul, „Stowarzyszenie Polaków” w Milwaukee, „Związek Polaków” w stanie Ohio, „Liga” na wschodzie i inne, wiodące żywot cichy i chylące się powoli ku upadkowi z powodu braku kapitałów rezerwowych i nieogłędnego przyjmowania członków, co naraża kasy tych stowarzyszeń na wydatki, przekraczające ich zasoby, a członków — na nadzwyczajne podatki.

Najdłużej bezwątpienia przetrwają „Związek Polski” i „Zjednoczenie,” ale ich przyszłość także nie sięga na daleką metę z powodu silnej konkurencji, jaką w ostatnich latach przeciwstawiły im, jak i wogóle wszystkim organizacjom tego rodzaju, potężne towarzystwa asekuracyjne „New York Life Insurance Com-

pany,” „Equitable,” „Prudential” i inne, zniewalające przez wpływy i nalegania legislatury wielu stanów do obostrzania praw, obowiązujących organizacje bratniej pomocy, kasy pogrzebowe i t. p. oraz przyjmujące ubezpieczenia na małe sumy przy opłacie drobnych, po kilka lub kilkanaście centów podatków tygodniowych.

Bardziej może jeszcze niż konkurencja towarzystw asekuracyjnych zagraża przyszłości polskich organizacji bratniej pomocy inne niebezpieczeństwo, a mianowicie ciągle obostrzanie praw imigracyjnych przez rząd Stanów Zjednoczonych, skutkiem czego przypływ wychodźców nie jest tak liczny, jak to ongi bywało, a więc i przypływ sił nowych do organizacji stale zmniejszać się musi. Na młodzież zaś zrodzoną z rodziców polskich i wychowaną w Ameryce liczyć nie można. Młodzież ta przekłada stowarzyszenia amerykańskie nad polskie, w polskich bowiem czuje się obcą z powodu nieznamomości języka polskiego oraz całkiem odmiennych zapatrywań.

Dla tych samych powodów nie oddzia-

lywa już na tę młodzież prasa polska; nie przeto dziwnego, że w Chicago, Buffalo, Nowym Yorku, Filadelfji i innych miastach znajdujemy towarzystwa i kluby, założone i uczęszczane przez tę młodzież, w których używa się wyłącznie języka angielskiego. Ież razy zdarza się to już nawet w towarzystwach, pragnących uchodzić za polskie!

Prąd ten pod wpływem szkoły amerykańskiej i otoczenia musi się zwiększać. Skutek przewidzieć łatwo.

Jeżeli organizacje polskie bratniej pomocy, dające, bądź co bądź, pokazną pomoc materialną członkom swoim, nie pociągają młodzieży polsko-amerykańskiej, to cóż dopiero mówić o organizacjach, nie dających żadnej korzyści materialnej, poświęconych wyłącznie rozwojowi ciała i ducha, jak „Związek towarzystw gimnastycznych,” dwa związki śpiewaków i „Związek młodzieży?”

Związki te, liczące po paruset członków zaledwie, wegetują tylko, borykając się z losem z roku na rok. Natomiast z dniem każdym rośnie liczba rozmaitych klubów atletycznych, sportowych

i tańczących (dancings clubs), zakładanych przez wyrostków polskiego pochodzenia, u których ślad polskości pozostał tylko w nazwisku. Ale i nazwiska, zwłaszcza kończące się na *ski* lub *icz*, już tak bywają przerabiane, by brzmiały z angielska lub z niemiecka.

Wśród towarzystw śpiewackich najliczniejszymi są jeszcze chóry parafjalne, w których ważną rolę odgrywa wiara, zachowująca się pomimo utraty poczucia narodowego. Chóry takie liczą często trochę po kilkadziesiąt członków młodzieży polsko-amerykańskiej obu płci, ale i tutaj język polski słyszeć się daje tylko na chórze lub podczas lekcji, pozatem zaś panuje wszechwładnie angielski.

Niejednokrotnie w pismach polsko-amerykańskich daje się widzieć odezwy, nawołujące rozpaczliwie niemal do popierania towarzystw polskich śpiewaczych, gimnastycznych i młodzieży; skutek atoli tych odezwy jast prawie żaden, bo nie mówiąc już o młodzieży, garnącej się, co już powyżej zaznaczyłem, daleko chętniej do towarzystwa amerykańskiego i pragnącej uchodzić, z nielicznymi wy-

jątkami, za amerykańską—ogromna większość starszego pokolenia wychodźców, zahukana walką o dolara, dążąca, pod wpływem otoczenia, którego stron dodatkich nie pojmuje, jedynie do wyciągnięcia ze wszystkiego jak największych korzyści materialnych, do robienia na wszystkim *businessu*—lekceważy, poza sprawami, tyjącemi się wiary, usiłowania szlachetniejsze, wymagające ofiar pieniężnych i poświęcenia.

Niewesołą przeto jest przyszłość organizacji polskich w Ameryce.

## VIII.

Badacze stosunków emigracyjnych, patrzący przez różowe szkiełka na wychodźstwo nasze w Ameryce Północnej, odpowiadają na wszelkie o niem pesymistyczne zdania przykładem Niemców. Istotnie, wśród Niemców, emigrujących do Ameryki Północnej już od lat 150-ciu zachowały się instytucje niemieckie, istnieją olbrzymie stowarzyszenia i związki, a prasa niemiecka wywiera wielki wpływ tak w sprawach politycznych, jak i społecznych.

Nie potrzeba jednak Niemców. Czesi, mniej od Polaków w Ameryce liczni, posiadają instytucje lepsze, zorganizowani są lepiej i wywierają większy wpływ na wszystkich polach działalności ludzkiej, niż wychodźstwo polskie.

Wśród wychodźców niemieckich i czeskich spotykamy często kupców, przemysłowców, techników, literatów, dziennikarzy, lekarzy, artystów, uczonych, nauczycieli i t. p., gdy tymczasem wychodźstwo polskie to w  $\frac{9}{10}$  włościanie bez żadnego wykształcenia. Resztę stanowią rzemieślnicy, paręset księży, oraz garść zaledwie ludzi świeckich prawdziwie inteligentnych, którzy wyższości swej nie wyzyskują na szkodę ciemniejszych współbraci.

Czy wobec tego można się dziwić, że wychodźstwo polskie zajmuje w Ameryce stanowisko podrzędne, że poza wiarą niema prawie poczucia celów wyższych, idealnych, że wreszcie drugie pokolenie tego wychodźstwa, zrodzone, a choćby nawet tylko wychowane na gruncie amerykańskim, tak prędko zatracą cechy narodowe i ulega we wszystkim wpływom społeczeństwa amerykańskiego.

Smutny jest zaiste stosunek młodzieży amerykańskiej pochodzenia polskiego do rodziców swoich.

Pomimo oddalenia od ziemi rodzinnej i zmiany warunków bytu, starsze poko-

lenie zachowuje obyczaje i zwyczaje odziedziczone po przodkach, nie może zrzucić z siebie powłoki, w jakiej przybyło z za oceanu.

Młodsze natomiast nie związane jest niczem z krajem rodziców swoich. Od najmłodszych lat otacza je atmosfera życia energicznego, pełnego gorączki, bez żadnych różnic klasowych. Takie-  
mu dziecku polskiemu rówieśnicy amerykańscy wmawiają, że niema kraju większego i potężniejszego, jak Stany Zjednoczone. To samo słyszy w szkole, to samo czyta w dziennikach, bo, już jako kilkunastoletni wyrostek, pochłania dzienniki. Uczy się dalej od rówieśników swoich, że aczkolwiek *pa* (ojciec) i *ma* (matka) dali mu życie, on jednak z chwilą, gdy na siebie zarabia, nie potrzebuje im ulegać. Uczy się zajmować sportem i polityką, z której czyni sobie także rodzaj sportu, bo i w polityce może grubą stawkę wygrać, choćby nie miał żadnego wykształcenia. Spryt, zręczność, bezczelność wystarczają. Widzi to codziennie dokoła.

Jeżeli wreszcie pragnie się kształcić—

ma szkoły i biblioteki bezpłatne, ma kluby i stowarzyszenia najrozmaitsze dla samouków. Ma łatwość znalezienia pracy, widzi dobrobyt, czuje swobodę osobistą. Wszystko to razem wzięte imponuje mu, wszystko to pociąga, a zarazem oddala od rodziców, w których widzi ludzi, jakby z innego świata: potulnych, oszczędnych niemal do skąpstwa, nieokrzesanych, ubierających się niezgrabnie, nie posiadających żadnych pragnień, zmuszonych z powodu niezajomości języka do przyjmowania jakichś warunków pracy, wymagających od swych dzieci jakichś szczególnych względów, choć sami są ciemni, niewykształceni, dziwnie archaiczni w tem społeczeństwie nawsokroś nowoczesnem.

Prostym wynikiem takiego stosunku, takich zapatrywań odniemnych, jest lekceważenie starszego pokolenia przez młodsze, lekceważenie, dochodzące nieraz do pogardy.

Istnieją co prawda i w tej regule wyjątki. Mógłbym wyliczyć sporą wiązkę nazwisk potomków wychodźców polskich, mówiących biegle po polsku, nie za-

pierających się swej narodowości, szanujących i miłujących rodziców i kraj, którego nie znają. Jednak są to tylko wyjątki. Pochodzi to zapewne stąd, że rodzice takich wyjątkowych Polaków-Amerykanów otrzymali jakieś takie wykształcenie za oceanem, przybywszy więc do Ameryki, potrafili w dzieci swe wpoić zasady, uniesione z kraju ojczystego.

Niejednokrotnie w ciągu niniejszej pracy wspomniałem o małych potrzebach wychodźców naszych. W życiu towarzyskiem, w zabawach są oni niewybredni i niewymagający. Tam gdzie istnieją prawa, zabraniające sprzedaży trunków alkoholicznych w niedziele, a prawa takie istnieją już w kilkunastu stanach, sudek piwa, zakupiony w sobotę za składowe pieniądze, harmonja lub skrzypce wystarczają do całodziennego hałaśliwej zabawy po nabożeństwie. Tam zaś, gdzie wolno trunki sprzedawać w niedziele, kwarta blazana przechodzi z rąk do rąk, zebrani kolejno podążają z nią do szynkowni.

Zwyczaj picia nad miarę przy każdej okazji, czy to przy chrzcinach, czy to



ślubie, czy pogrzebie, czy jakimkolwiek wreszcie zebraniu, tak głęboko zakorzeniony w ludzie naszym, razi i za oceanem. Zwłaszcza w małych osadach, gdzie ludność polska, skupiona, jak zwykle, w jednej dzielnicy, uwydatnia się bardziej niż w miastach wielkich, polskie pijatyki, a szczególnie „Polish weddings” (polskie wesela) słynne są wśród Amerykanów. Okręgi węglowe Pensylwanji, w których gęstemi, zwartymi masami osiadła najciężej pracująca, ale i najciemniejsza część wychodźstwa naszego, dostarczają pod tym względem jaskrawych przykładów.

Oprócz pijatyk rozwielniona jest wśród wychodźstwa gra w karty. Grają w szynkowniach, grają w domach prywatnych, grają w szulerniach. Swojskie gry ruguje coraz bardziej i u nas już znany poker amerykański. Najrozmaitsze gry w kości znajdują też wielu zwolenników.

Zamiłowanie do gry ujawnia się zwłaszcza na tak zwanych *fair*'ach (jarmarkach), t. j. loteryjach fantowych. Na loteryjach tych bilety zastąpione są przez

drewniane tabliczki z wypisanymi na nich numerami, o wygranej zaś rozstrzyga wielkie koło, osadzone pionowo na osi. Za pokręceniem koła, wskazówka zaopatrzona u końca w stalową sprężynkę, zaczepia o gwoźdżiki, white przy numerach, wypisanych na okręgu koła; ten numer wygrywa, przy którego gwoźdżiku znajduje się wskazówka w chwili, gdy koło stanie.

Jak wiadomo, rząd amerykański nie miesza się wcale do spraw religijnych, wskutek czego każde wyznanie, każda sekta zmuszone są myśleć o utrzymaniu swych świątyń i duchowieństwa. Jednym ze sposobów zdobywania funduszków na te cele są właśnie owe *fair*'y. Każda z parafji polskich urządza przynajmniej jeden taki *fair* rocznie i zyskuje z tego źródła niejednokrotnie po kilka tysięcy dolarów czystego dochodu. Gra w tem niemałą rolę obok zamiłowania wychodźstwa naszego do gier hazardownych, także ofiarność jego na sprawy, dotyczące się kościoła, o czem pomówię jeszcze w następnym rozdziale.

*Fair*'y odbywają się niemal zawsze

w zabudowaniach kościelnych. Razi w tych zabawach nie tyle może wyzyskiwanie namiętności ludzkiej do gry dla zaspokojenia potrzeb kościelnych, ile zachęcanie do pijatyki. Zarządzający zabawą silą się na rozmaite fortele, by zebranych zachęcić do picia przy bufetach, najczęściej bowiem szynkarze, właściciele browarów i hurtowych składów wódek, pragnąc pozyskać klientelę w parafji, ofiarują dla reklamy trunki na *fair* za darmo. Ale i od kupionych trunków osiągnąć można przy sprzedaży na szklanki i kieliszki 300 do 400% czystego zysku, nie jest więc dochód taki do pogardzenia. Niestety, kosztem tego dochodu szerzy się pijaństwo.

U bardziej zamożnych wychodźców ulubioną rozrywką w niedziele i święta, podczas miesięcy zimowych, są zebrania towarzyskie ze śpiewem i muzyką. W domu lepiej płatnego robotnika polskiego za oceanem, nieraz można znaleźć i pianino.

Młodzież zabawia się najchętniej na balach publicznych, urządzanych nieraz po dwa i trzy razy w tygodniu w niezliczo-

nych halach do tańca przez rozmaite towarzystwa, kółka i kluby tańczące. Nie są to bale w pojęciu europejskiem. Panują na nich swoboda i bezceremonjalność, sięgające poza granice etykiety naszej. Ale, co kraj, to obyczaj.

Niewielki zakres rozrywek zimowych rodaków naszych za oceanem dopełniają teatry amatorskie. Istnieją tam rozmaite kółka i kółeczka dramatyczne, nie tyle jednak sztuka stanowi o powodzeniu przedstawienia, ile towarzystwo, urządzające przedstawienie. Najlepiej udają się, ale tylko pod względem materialnym, przedstawienia, urządzane przez kółka dramatyczne parafjalne, bo przedstawienia takie zapowiadane są zwykle z ambony, a dochód przeznaczony bywa na potrzeby kościelne.

Po każdym przedstawieniu muszą być konieczne tańce, inaczej na powodzenie liczyć nie można, bo podczas tańców zarabia najczęściej bufet, a to jest główne źródło dochodu.

Amatorzy polsko-amerykańscy grają z równą śmiałością Mazepę Słowackiego, jak i Podróż po Warszawie Szobera. Jak

grają, lepiej nie pytać. Dobra chęć wystarcza nieraz za uczynek, zwłaszcza gdy ma cel szlachetny na widoku i wyrabia w amatorach znajomość języka polskiego.

Niejednokrotnie już w szczupłej garstce inteligencji naszej, przebywającej za oceanem, powstawała myśl założenia stałego teatru polskiego. Projekt ten za każdym razem upadał i bezwątpienia wznowienie go nie wyda lepszych rezultatów, bo na przeszkodzie stoi przede wszystkim zbyt niski stan umysłowy ogółu wychodźstwa naszego, następnie podział jego na obozy i oboziki, zwalczające się nawzajem do tego stopnia, że co jeden postanowi, to drugi potępi z pewnością, wreszcie opór towarzystw i kółek, urządzających przedstawienia na korzyść własną, prócz wielu innych przyczyn, których tu wyliczać nie będę.

Podczas lata panują wszechwładnie wśród wychodźstwa wycieczki do parków lub za miasto. Od maja do października niema literalnie święta i niedzieli, by to lub owo towarzystwo polskie nie urządziło pikniku na świeżem powietrzu.

Bardzo wiele towarzystw amerykań-

skich używa — dla przysporzenia członków oraz nadania sobie wyglądu marsowego — najfantastyczniejszych mundurów, parodjujących armie całego świata. Są więc towarzystwa żuawów chicagoskich, huzarów angielskich, piechoty irlandzkiej, rycerzy legji honorowej, rycerzy pracy, kawalerji amerykańskiej, górali szkockich, ułanów, saperów, artylerji i najróżnorodniejszych wojsk, których jedynym celem jest paradowanie przy lada sposobności: przy procesji, pogrzebie, pikniku.

Wychodźcy nasi przyjęli ten zwyczaj towarzystw amerykańskich. Wymarsze więc na pikniki odbywają się z całą paradą. Na czele kroczy głośna orkiestra, za nią wloką się przygarbieni ciężką pracą w fabrykach najrozmaitsi rycerze, a za nimi podążają szeregi członków towarzystw cywilnych z różnobarwnemi znakami na piersiach. Przed każdym z towarzystw chorąży dźwiga sztandar, bo sztandar to rzecz konieczna w towarzystwie amerykańskiem. Może towarzystwo mieć nie więcej jak tuzin członków, może nie posiadać grosza w kasie,

ale sztandar i to najdroższy, choćby na kredyt, sprawić sobie musi. Pochodowi towarzyszą na chodnikach rodziny członków, obciążone koszykami z prowiantem.

Na pikniku wyścigi, gry, tańce i bezwarunkowo pijatyka przy bufetach, bo z tego—dochód największy.

Pijatyka, to istna plaga wszystkich zabaw i rozrywek wychodźców naszych za oceanem.

## IX.

Wśród cech właściwych narodowi naszemu, dwie zwłaszcza wyróżniają wychodźstwo nasze z pośród wychodźców innych narodowości, a mianowicie: ofiarność na rzeczy dotyczące się wiary, lub z wiarą posiadające choćby jaką taką łączność\*), oraz chęć posiadania własnego kawałka ziemi.

Stanowczo powiedzieć można, że żaden z wychodźców innej narodowości, wyznających wiarę katolicką i zamieszkujących ziemię amerykańską, nie jest, w stosunku do swej zamożności, tak hoj-

---

\*) Dowód tego mamy w obfitych składkach, płynących od wychodźstwa amerykańskiego na rzecz ofiar procesu wrzesińskiego.

ny na rzecz kościoła, jak wychodźca polski.

Wśród Irlandczyków i Niemców katolików znajdują się bogacze, lożący też hojnie na kościół, łatwiej atoli wydać im na ten cel tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy dolarów, niż chłopu polskiemu na wychodźtwie kilka dolarów; a jednak chłop ten polski, zarabiający w fabryce, kopalni lub przy robotach ziemnych, oskardem czy lopatą, przeciętnie 300 do 360 dolarów rocznie, wydaje na kościół od 40 do 60 dolarów co roku. Płaci na budowę kościoła, płaci na spłatę długów kościelnych, płaci za ławkę w kościele, płaci na szkołę parafjalną, płaci na *fair*'ach i piknikach parafjalnych. Żadna siostra zakonna, żaden ksiądz, zbierający składki, nie odejdą od drzwi jego z próżnemi rękoma. Choćby obarczony był liczną rodziną, choćby pracę miał licho płatną i ciężką, wychodźca płaci bez szemrania, bo uważa to sobie za obowiązek pierwszorzędnny, bo to na chwałę Bożą.

Sewer w powieści swej „O świętą ziemię” znakomicie podchwycił rys chara-

teryistyczny ludu naszego: dążenie do posiadania własnego kawałka gruntu. Cecha ta ujawnia się także jaskrawo na wychodźtwie. Nie mówiąc już o wychodźcach, zamieszkałych na roli, każdy z wychodźców, pracujących w mieście, dąży do tego, by choć skrawek ziemi nazwać swym własnym. W środku miast atoli oraz w bliższych środku dzielnicach grunty są drogie, najczęściej więc wychodźcy polscy osiedlają się na skrajach miasta, w dzielnicach mało zaludnionych, gdzie udziały (loty) gruntu są jeszcze tanie, a co główniejsze, gdzie można nabyć je na małe spłaty miesięczne.

Uciulawszy paręset dolarów, zakupuje wychodźca natychmiast cząstkę gruntu i buduje na niej na kredyt dom zwykle drewniany. W Ameryce dokonywa się taka tranzakcja bez wielkich zachodów. Usłużny przedsiębiorca, zawarowawszy się skryptem, na mocy którego ma prawo w razie uchybienia w opłacie rat miesięcznych, odebrać swą własność — sprzedaje grunt i wystawi kompletny dom, za opłatą paruset dolarów

zadatku. Wychodźca staje się tedy właścicielem upragnionej siedziby, jest, jak w „starym kraju” \*), na własnych śmieciach, we własnym obejściu.

System taki ma strony dodatnie, potęguje bowiem oszczędność, zapewnia kąta na stare lata, przynosi jaki taki dochód, jeżeli dom jest na dwie lub trzy rodziny. Ma jednak i strony ujemne, bo wychodźca, stając się zależnym od przedsiębiorcy, chwytą się bylejakiej pracy, pracuje w jak najgorszych warunkach, i gdy przedstawiciele innych narodowości dążą do poprawienia bytu swego, do wywalczenia sobie lepszych warunków u pracodawców, on trzyma się zdala od tych usiłowań, by zarobku nie stracić, by mieć czem zapłacić ratę miesięczną. Bywa skutkiem tego pogardzany i znosić musi wiele nieprzyjemności ze strony towarzyszków swych Amerykanów, Irlandczyków lub Niemców.

Pod innym jeszcze względem cheiwość

---

\*) *The old country* — tak nazywają powszechnie wychodźcy kraj swój rodzinny.

posiadania źle przedstawia wychodźców polskich w oczach amerykanów.

Oto, pragnąc zaoszczędzić jak najwięcej ze swego zarobku, mieszkają ciasno i brudno.

Towarzystwo, zajmujące się badaniem warunków sanitarnych w dzielnicach ludowych miasta Chicago, ogłosiło w maju 1901 r. w dzienniku „Chicago Tribune” sprawozdanie, w którym oświadcza, że Polacy, zwłaszcza w najgęściej zaludnionej dzielnicy polskiej, między ulicami: Noble, Blackhawk, Dickson i Ashland avenue, mieszkają nie lepiej od słynnych z niechlujstwa Włochów, Żydów, a nawet Chińczyków.

Smutne to świadectwo.

Z drugiej strony inne badania wykazały już niejednokrotnie, że wychodźca polski jest pracowitszy, oszczędniejszy i zasobniejszy, niż wychodźcy innej narodowości.

Co lepsze?

Tem pytaniem zakończę szkic niniejszy o życiu i działalności wychodźców polskich w Ameryce Północnej.

Tom po kop. 25.

J. I. KRASZEWSKIEGO

**POWIEŚCI  
HISTORYCZNE**

przedstawiające w formie powieściowej

**Dzieje dawnej Polski**

od wieku IX do drugiej połowy wieku XVIII,

**29 powieści, stanowiących 78 tomów.**

Stara Baśń, 3 tomy.

Lubonie, 2 tomy.

Bracia Zmartwych-  
wstańcy, 3 tomy.

Masław, 2 tomy.

Boleszyce, 2 tomy.

Królewscy synowie, 4 t.

Historja prawdziwa o  
Petrku Właście 2 t.

Stach z Konar, 4 t.

Waligóra, 3 tomy.

Syn Jazdona, 3 tomy.

Pogrobek, 2 tomy.

Kraków za Łoktka, 2 t.

Jelita, 2 tomy.

Król chłopów, 4 tomy.

Biały książę, 3 tomy.

Semko, 3 tomy.

Matka Królów, 2 tomy.

Strzemieńczyk, 2 tomy.

Jaszko Orfan, 4 tomy.

Dwie królowe, 3 tomy.

Infantka, 3 tomy.

Banita, 3 tomy.

Bajbuza, 3 tomy.

Na królewskim dworze,  
3 tomy.

Boży gniew, 3 tomy.

Król Piast, 2 tomy.

Notatki Polanowskiego,  
2 tomy.

Za Sasów, 2 tomy.

Saskie ostatki, 2 tomy.

**Cena za całość 78 tomów Rb. 16**

**Cena tomu kop. 25.**

200/300  
300  
90/15/880

**WYBÓR DZIEŁ  
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH  
HOFMANOWEJ**

WYDANIE JUBILEUSZOWE Z PORTRETEM AUTORKI,  
ze wstępem i objaśnieniami D-ra P. Chmielowskiego,  
6 tomów.

I. Listy Elżbiety Rzeczyckiej. — Dziennik Franciszki Karpińskiej. — II. Krystyna. — III. IV. Jan Kochanowski w Czarnolesie. — V. Pamiątka po dobrej matce. — VI. Wybór opowiadań historycznych.

Cena za 6 tomów rb. 1 k. 50; w oprawie rb. 2 k. 50

---

---

**POLSKA**

w roku 1793.

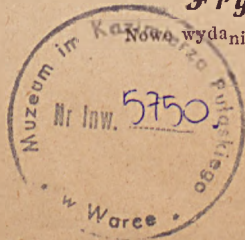
**PAMIĘTNIK HISTORYCZNY**

według podróży

**Fryderyka Szulca.**

Nowe wydanie wyczerpanej a nader poszukiwanej książki.

Cena rb. 1 kop. 20.





*Comme*  
5  
E. CZYŃSK

Etnograficzno-statystyczny zarys  
LICZEBNOŚCI I ROZSIEDLENIA  
**LUDNOŚCI POLSKIEJ**

Cena 50 kop.

L. HIERNAUX

ORGANIZACJA KREDYTU  
DLA PRACY

Cena rb. 1.

H. SPENCER

JEDNOSTKA  
WOBEC PAŃSTWA

STUDJUM SPOŁECZNE

Cena 75 kop.

B. HOFF.

**LUD CIESZYŃSKI**

OBRAZ ETNOGRAFICZNY

Tom I-szy. Wiśta i Wiślanie, z licznymi rycinami.

Cena rb. 1 kop. 20.